

Mirosława Szott (podała do druku)
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze

**„OTÓŻ SĄ TO INTYMNE ZWIERZENIA MOICH BOHATERÓW,
A NIE MOJE” – Z MARKIEM KRUKOWSKIM O AUTOFIKCIJ,
ROZCZAROWANIACH PISARSKICH I BOHATERCE
NAJNOWSZEJ POWIEŚCI ROZMAWIA MIROŚŁAWA SZOTT**

Mirosława Szott: Marku, skąd pomysł na autofikcję?

Marek Krukowski: Po prostu uprawianie autofikcji najbardziej mi leży (tak jak innym leży pisanie kryminałów, romansów czy innej prozy gatunkowej). Ciężko dokonać wiwisekcji i definitywnie stwierdzić, dlaczego tworzę właśnie w duchu autofikcji, czy to z powodu egocentryzmu, braku wyobraźni, umiłowania prawdy, dążenia do autentyczności, megalomanii...? Natomiast z pewnością na drogę autofikcji skierowali mnie dwaj pisarze: Marcel Proust i Charles Bukowski.

MS: Jakie są reakcje na Twoje powieści? Myślę zwłaszcza o tych osobach, które wyraźnie portretujesz i które się rozpoznają.

MK: Pozytywne. Może nie portretuję jednak tak dosłownie, jeśli nawet wyraźnie. Mam też to szczęście, że opisuję osoby na tyle inteligentne, które potrafią zbudować niezbędny dystans pomiędzy sobą a fikcyjną postacią. I rozumieją odrębność świata powieści i świata realnego.

MS: To ciekawe, bo mam wrażenie, że bardzo często u odbiorców zaciera się ta granica między światem realnym a światem fikcyjnym. A tu pokusa jest jeszcze większa, żeby odczytywać autofikcję w kategoriach prawdy.

MK: Oczywiście masz rację, ale co poradzę na to, że nikt śmiertelnie się na mnie nie obraził, przynajmniej jak dotąd. Choć nie jest to prawdą, jedna osoba została zraniona. To znaczy, że nie mogę powiedzieć, że żadne zwierzę nie ucierpiało podczas powstawania moich książek. Niemniej raniemy innych stale, tym co i jak mówimy, jak się zachowujemy, nawet jak się ubieramy, śpiewamy, ziewamy, więc raczej bym nie



Marek Krukowski. Fot. Kacper Kubiak

dramatyzował. Jeśli ktokolwiek poczuje się urażony tym, co napisałem rzekomo właśnie o nim, to zawsze może ze mną zerwać kontakt, droga wolna.

MS: A nie chciałbyś wywołać jakiegoś skandalu, oburzenia w lokalnym świecie artystów? Wydaje mi się, że lubisz balansować na granicy (różnych zjawisk) i masz skłonności do performance'u, zresztą zajmowałeś się też teatrem. Próbujesz siebie i innych w tym pisaniu?

MK: Nie, absolutnie żaden skandal jako cel literatury mnie nie interesuje. Skandal co najwyżej może wyniknąć przy okazji, ale nie jest przeze mnie zamierzony. Pracując nad obecną książką, próbuję rozszyfrować schemat, według którego rozwija się opowieść mojego życia, a więc i opowieść mojej narratorki. Ten schemat jest kontynuacją historii, kanw, w ramach których rozgrywały się biografie kluczowych dla mnie członków rodziny, a teraz rozgrywa się moja. Przyglądając się wyłącznie własnej przeszłości, o ile nie jesteśmy u schyłku życia, ciężko dostrzec wzorzec opowieści, trzeba zwrócić oczy na historie osób nam najbliższych, a starszych od nas o pokolenie albo dwa, wówczas jest większa szansa, że uda nam się zrozumieć logikę, jaką rządzi się nasza opowieść, dostrzegając scenariuszowe zbieżności pomiędzy naszym życiem a życiem naszych przodków. Obecnie na swój sposób tłumaczę sobie tę starą filozoficzną prawdę, że wolność to uświadomiona konieczność. Nie ucieknę od rodzinnego schematu, który muszę wypełnić konkretną treścią mojego życia. Ale mając tę wiedzę, mogę zrozumieć, dlaczego dokonuję takich, a nie innych wyborów. I ta wiedza daje poczucie wolności, nie muszę się dłużej miotać, a mogę spokojnie podążać ścieżką, która wywodzi się z przeszłości mojej rodziny.

Natomiast z pewnością męczy mnie i nudzi wszelka sztampa tak w literaturze, jak i w życiu codziennym. Dlatego często próbuję ją przełamywać, ale nie po to, aby szokować, ale aby nas od niej ocalić, aby uratować autentyczność naszej egzystencji.

MS: Jak byś nazwał relację Twojego pisania i osobistych doświadczeń: czerpanie, twórcze wykorzystanie, przetworzenie, pasożytnictwo czy żerowanie? Może jeszcze inaczej?

MK: Wszystkie twoje określenia są okay. Mógłbym nazwać tę relację również jako zniewolenie, ponieważ główny tok narracji jest zbieżny z czasem teraźniejszym mojej egzystencji. Otóż ram moich powieści nie stanowią wydarzenia z przeszłości, które literacko przeobrażam i wplatom w fabułę, a zdarzenia teraźniejsze, bieżące, choć niedokładnie same „zdarzenia”, a raczej „czas teraźniejszy”. Mój narrator, podobnie jak każdy z nas, jest w niewoli czasu. Nie wie, co przyniesie jutro i jaki kształt przyjmie opowieść, jaką snuje o własnym życiu. A przecież pragnienie formy (czy też porządku) jest w nas bardzo silne. Z tego powodu bardzo dużo pracuję na korektach. Ponieważ najpierw próbuję uchwycić codzienność oraz ducha teraźniejszości w locie, w jego dzianiu się. W ten sposób gromadzę dość chaotyczny materiał literacki, który następnie obrabiam, filtrując go przez coraz drobniejsze sita, wywalając powtórzenia, nieudane próbki oraz

elementy, które z perspektywy czasu okazały się nieistotne, zbędne, zakłócające tok narracji. Zmieniam chronologię niektórych partii, inne znów scalam tak, aby finalnie powstała jednak powieść, a nie rodzaj efemerycznego dziennika. Z drugiej strony zależy mi, aby narrator pozostał w takim samym stosunku do swojej opowieści, w jakim my pozostajemy do naszego życia. Podsumowania są możliwe, kiedy pewien cykl się dopełni i przeminie, dopiero wówczas wyłania się kształt, sens i logika naszej życiowej opowieści. Dlatego też stworzenie powieści zajmuje mi kilka ładnych lat.

MS: Czy zdarza Ci się, że przejrzyś się po czasie w jakimś Twoim bohaterze (lub bohaterce) jak w lustrze i wyda Ci się niespodziewanie odpychający lub wręcz przeciwnie – mógłbyś się nim zachwycić?

MK: To rozczarowanie przeżywam głównie na poziomie korekt, gdy po pewnym czasie sięgam do tekstu, aby jeszcze raz się z nim zmierzyć i dostrzegam, że bardzo okaleczyłem złożoność codzienności, wydobywając choćby tylko sam ból i choroby. Wtedy próbuję to zróżnicować, przełamać, otworzyć... Czasem też są miłe zaskoczenia, kiedy czytam jakiś fragment i mruczę do siebie: „Kurcze, nie wiedziałem, że tak ładnie to opisałem, że ze mnie aż taki mądry chłopak!”

MS: Czy są relacje w Twoim życiu, które podtrzymujesz ze względu na dostarczanie Ci twórczego materiału?

MK: Aż takim psychopatą nie jestem, oby. Poza tym twórczego materiału przynajmniej do tej pory dostarczali mi głównie: moja rodzicielka, dziadkowie, siostra, a ostatnio mój partner, oraz jeden przyjaciel (który znacząco ograniczył ze mną kontakt, ponoć za bardzo go raniłem tym, co do niego mówiłem, a nie tym, co o nim pisałem). Dziadkowie nie żyją od roku, więc w sposób naturalny nastąpił duży uszczerbek materiałowy. Z rodzicielką i partnerem trudno zerwać relacje albo powiedzieć, że utrzymuje się je tylko po to, aby móc z nich czerpać inspirację, ale oczywiście istnieje taka możliwość. Poza tym mój partner na bieżąco czyta przez moje ramię wszystko, co napiszę, i ma z tego niezły ubaw. Natomiast rodzicielka jest bardzo dzielną kobietą, książki raczej jej niestraszne.

MS: Czy masz obawy, że źródło Twojej inspiracji (Twoje życiowe doświadczenia) przestanie ciekawić czytelniczki i czytelników?

MK: Moją główną obawą jest to, że przestanie ciekawić mnie. I czasem faktycznie bywam znudzony i znużony moim światem, a z drugiej strony jest to jedyny świat, który znam od podszewki. Bo co ja wiem o życiu wewnętrznym innych ludzi? Właśnie uświadomiłem sobie, że nie tyle interesuje mnie jakaś wymaginowana obiektywna rzeczywistość, a życie wewnętrzne rozgrywające się w codzienności, która jest podstawowym trybem naszej egzystencji. Nudna codzienność, więzienie dnia powszedniego, ta żmudna taśma produkcyjna ludzkiej egzystencji, ten brazylijski tasiemiec naszego życia fascynują mnie najbardziej – oczywiście nie sposób go zrozumieć, nie odwołując się do przeszłości. Serial codzienności rozgrywa się według schematu narracyjnego

wyznaczonego przez życiorysy osób nam najbliższych, wyłania się z naszej rodzinnej przeszłości. Właściwie w każdej z moich książek mniej lub bardziej świadomie próbuję rozszyfrować mój osobisty schemat narracyjny, aby odpowiedzieć sobie: dlaczego moja opowieść układa się właśnie tak, a nie inaczej? Dlaczego dokonuję takich a nie innych wyborów? Może faktycznie, kiedy odkryję już wszystkie karty, źródło inspiracji wyschnie. Jednak zawsze pozostanie mi do eksploracji codzienny intymny świat, nawet jeśli już pojmę, w ramach jakiej kanwy narracyjnej się ta powszedniość rozwija. Poprzez moje książki chcę umożliwić czytelnikowi niemożliwe, czyli dać sposobność do zajrzenia do głowy tego drugiego i przekonania się, jak to tam wygląda od środka. Tylko literatura umożliwia nam taką odśrodkową obserwację tego drugiego, stojącego naprzeciwko nas. Dlatego zależy mi, aby to doświadczenie było nie tyle co prawdziwe, a jak najbardziej autentyczne. A jeśli znów chcemy szukać obiektywnych prawd o człowieku, to przecież nie gdzie indziej jak poprzez studium jednostkowego przypadku, a bez wątpienia jestem takim przypadkiem: ani lepszym, ani gorszym.

MS: Nie miałbyś ochoty napisać po prostu autobiografii? Domyślam się, że wolisz być po prostu na granicy zwierzenia i zmyślenia.

MK: Autobiografie to najczęściej jedna wielka ściema tak czy siak, niby ktoś się nam zwierza, ale tak naprawdę się wybiela, pokazuje siebie w określonym świetle. Zostawmy pisanie autobiografii starym ludziom i celebrytom. Poza tym przy pracy nad autobiografią dopiero byłbym zniewolony i znudzony. Autofikcja pozostawia o wiele szersze pole manewru, więcej dróg ucieczki i nikt nie może mi zarzucić, że coś zmyślam, przekraczam, konfabuluję, bo przecież jest jasnym, że tak właśnie czynię. Nie muszę udawać, że dbam o ścisłość. Natomiast przykładam dużą wagę do tego, aby głos mojego narratora brzmiał jak najautentyczniej.

MS: Czy czujesz momenty, kiedy ten głos fałszuje? Jak je rozpoznajesz? Czy może być tak, że czasami też sam bohater może konfabulować i mylić autora? Dajesz mu takie prawo?

MK: Momenty, w których głos fałszuje, to są najczęściej fragmenty po prostu źle napisane albo te, w których za bardzo wykraczam poza moje osobiste doświadczenie, chcąc dogodzić głosowi mojego bohatera. Nie, oni powinni ściśle przylegać do mnie, wtedy nie może się wkraść żadna fałszywa nuta. Poza tym podczas korekt współpracuję z wieloma osobami, polegając na ich uchu i wrażliwości. Uważnie słucham ich sugestii. Przecież ty również miałaś okazję przeczytać pierwszą część mojej najnowszej powieści, którą cały czas piszę.

MS: Tak, miałam okazję. To spora odpowiedzialność. Czy masz dużo beta-czytelników? Czy oni znają Cię zazwyczaj dobrze?

MK: Jak już wspomniałem, wydaje mi się, że dużo pracuję na korektach i właśnie w tej fazie beta-czytelnicy są dla mnie niezmiernie ważni, bo generalnie pełnią oni również rolę pierwszych recenzentów i korektorów. Najczęściej są to osoby zaznajo-

mione z rzemiosłem literackim, odznaczające się bliską mi wrażliwością. Co więcej moi beta-czytelnicy się zmieniają, wynika to w dużej mierze z tego, że jakaś więź energetyczna po czasie się wypala. Wtedy szukam nowych osób, a raczej nowe osoby przychodzą do mnie. I tak na przykład nad „JAMIMOJE” intensywnie pracowałem na samym początku z Elżbietą Wancław-Chłopik, a następnie z Agnieszką Der, Wojtkiem Kozłowskim i Pawłem Walczakiem. Na pierwszej części obecnej książki swoje piętno odcisnęła Agnieszka Ginko, ale także twoje uwagi były dla mnie bardzo cenne, tak jak sugestie Marcina Mielcarka czy profesora Jerzego Madejskiego. Natomiast teraz utworzyłem stały zespół roboczy, w skład którego wchodzi dwójka młodych poetów: Roksana Bach i Adrian Lokś. Regularnie spotykamy się w moim domu, pracując nad drugą częścią mojej powieści, ale także nad ich tekstami. To bardzo twórczy kolektyw. Praca pisarza, czy poety, odbywa się głównie w odosobnieniu, więc bardzo lubię przechodzić do etapu, kiedy nad tekstem można się wspólnie pochylić.

MS: Czy nie miałeś nigdy problemu z intymnymi zwierzeniami/zmyśleniami swoich bohaterów?

MK: Otóż są to intymne zwierzenia moich bohaterów, a nie moje. Obecnie pracuję nad książką niby bardzo autobiograficzną, intymną, ale opowiadaną z perspektywy kobiety, więc zupełnie zmyślenie. To jej głos (swoim brzmieniem, barwą, powłóczyścią, strukturą) determinuje tok narracji. I to właśnie ta kobieta – bezpłodna, czterdziesto-kilkuletnia, uwikłana w dom rodzinny oraz w związek z dużo młodszym mężczyzną (właściwie z dorosłym chłopcem), sfrustrowana lokalna pisarka, niezrealizowana poetka, a nawet, jak ją określa profesor Jerzy Madejski: „rycząca czterdziestka” – to ona relacjonuje nam swoje zmagania z codziennością, z przeszłością, z własnymi bolączkami i rojeniami. Choć oczywiście jej sny, wspomnienia i codzienność są zakorzenione w mojej teraźniejszości, przeszłości i w moich snach. Jednak wszystko, co finalnie trafi na karty książek, musi zostać przefiltrowane przez głos narratorki, musi być zgodne z logiką tego głosu i jest przez ten głos opowiedziane, więc i zniekształcone. To narratorka, przyglądając się mojej nudnej egzystencji niejako z zewnątrz, z dystansu, przywłaszcza sobie to, co uzna za ciekawe, przydatne, pasujące do jej opowieści. Wydatnie jej w tym pomagam, starając się podsuwać jej co smaczniejsze kąski z tej niezbyt wyszukanej strawy, a i tak podczas korekt przeżywam prawdziwą udrękę, ze zdumieniem odkrywając, że tak niewiele zostało „ocalone”, że w ogóle źle wybraliśmy, a w dodatku ta pseudopoetka opowiedziała to w sposób niechwytny i istotny zdarzeń i czasu. I to rozczarowanie sprawia, że piszę dalej.

MS: Czy jest jakaś granica intymności, której byś w pisaniu nie przekroczył?

MK: Nie wiem. Są intymne zdarzenia, które przemilczam, ale głównie dlatego, że uważam, iż nic nie wnoszą do snutej przeze mnie opowieści. Gdyby były kluczowe do zrozumienia opisywanej historii, to z pewnością jakoś sprytnie bym je przefiltrował przez życiorys mojego narratora. Jakoś bym je odintymnił, że się tak wyrażę.

MS: Co ciekawego dowiedziałeś się o świecie (i o sobie), pisząc z perspektywy kobiecej?

MK: Po pierwsze głos kobiety był mi potrzebny do zbudowania dystansu pomiędzy mną (autorem) a przedmiotem mojej sztuki, którym w dużej mierze jest moje osobiste doświadczenie. Osiągnięcie przez autora dystansu jest warunkiem koniecznym powstania dobrego dzieła sztuki. Po drugie uderzyło mnie, jak wciąż niezwykle silnie jesteśmy zdeterminowani przez to, czy funkcjonujemy jako mężczyźni, czy jako kobiety. A z drugiej strony nadchodzą czasy, kiedy o wiele łatwiej dać sobie spokój z odgrywaniem roli stereotypowego mężczyzny lub kobiety. Możliwe, że w przyszłości coraz mniej będziemy się przejmowali temu podobnymi sprawami i bólami: czy mi, jako kobiecie, wypada to czy tamto? Czy ja, jako mężczyzna, powinienem to, czy raczej owo? Zresztą moja bohaterka w toku książki coraz bardziej przeciwstawia się owym społecznym rolom, przekracza i łamie stereotypy, równocześnie pozostając bardzo kobietą (przynajmniej taką mam nadzieję). Po trzecie na poziomie egzystencjalnym doświadczenie bycia człowiekiem jest właściwie identyczne dla obu płci. Tak samo (jeśli są różnice, to indywidualne, a nie płciowe) przeżywamy fakt bycia istotami śmiertelnymi, fizycznymi, słabymi, a co najważniejsze świadomymi. Pierwsi czytelnicy potwierdzają, że moja narratorka to bardzo autentyczna postać, a przecież całe jej życiowe doświadczenie czerpie źródło ze mnie. Co więcej, niektóre fragmenty były pisane z perspektywy męskiej, wystarczyło zmienić formę czasowników w czasie przeszłym z „byłem” na „byłam”, a jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki z jak najbardziej prawdziwego, nieco neurotycznego mężczyzny wyłoniła się najprawdziwsza, nieco neurotyczna kobieta.

MS: Dziękuję za rozmowę.

MK: Dzięki.